NUMER 2. DNIA 10. STYCZNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJA KONOPNICKA.

MÓJ ZEGAREK.

Nic i nigdy nie przedstawiło mi się w życiu pod aspektem tak doskonale niedościgłego ideału, jako ten zegarek. Kiedym go raz pierwszy zobaczył, bujał się on wysoko przede mną, w dwóch palcach, na cienkim łańcuszku przez ojca trzymany, tak, iż zdawał się własną czarodziejską mocą unosić w powietrzu.

Odrazu też uderzył oczy moje jako zjawisko mistyczne, pełne cichego, tajemniczego życia. Ściśle rzeczy biorąc, był to krążek wprost z nieba wycięty, jaśniejący najczystszym szafirem i usiany nieprzeliczoną ilością drobnych gwiazd, tak złotych, jakie tylko w najcudniejszą, najbardziej przejrzystą noc sierpniową widzieć można. A potem, miał zegarek ten i to jeszcze mistyczne w sobie, że przybywał zdaleka.

Nie był kupiony ani na tej, ani na tamtej ulicy. Nie był nawet kupiony w rynku. Nie zrobił go ani stary Urzeit, ani „Śledzianowski i Sp.", ani Seligteufel.

Zupełnie gotowy i utworzony niewiedzieć przez kogo, przybywał w małem pudełku z czarnego safjanu, razem ze swoją konstelacją gwiazd i ze swojemi widnokrężnemi lazurami, jako skończona zagadka.

Chwila była przejmująca; dotąd coś z jej drżenia wzrusza serce moje. Ojciec powrócił z Paryża po długiej niebytności w domu, trochę jakby nam obcy, bardzo elegancki pan.

Istotnie wydawał się jakiś inny, lekki, strojny, wesoły, roztrzepany prawie; miał w klin przeciętą bródkę, gwizdał, podspiewywał, wykręcał się na pięcie, klepał nas po ramieniu bardzo zabawnie, mrugając przytem jednem okiem, na matkę wołał: „Ma Biche", zamiast jak dawniej „Basiu", poczem zaraz uderzał się dłonią w usta i spuściwszy oczy, komicznie podkręcał wąsa. Był też, jak gdyby młodszy, szczuplejszy, przystępniejszy zwłaszcza.

Właściwie ostatnie to spostrzeżenie, pierwszy uczynił nasz Medor, który odrazu, po trzaśnięciu w palce, jakiem go ojciec przywołał, psim węchem poznał owe paryskie odmiany i natychmiast, puściwszy się w szalony piruet, zaczął się kręcić do zawrotu we łbie, poczem skoczył ojcu wprost na piersi, czego dawnej, z powodu pewnej, dość znacznej wyniosłości jego żołądka, nigdyby uczynić nie zdołał.

Co do matki, ta w pierwszej chwili gwałtownej radości nie miała czasu na żadne spostrzeżenia i raz tylko krzyknąwszy: „Józef!" padła ojcu na szyję, poczem zawołała: „Wikta, befsztyk!" — i zniknęła w kuchni. Zaraz też uczynił się tam huk i trzask, jak w największe święto.

Jakoż, ten z wielu względów pamiętny i uroczysty wieczór zakończył się podaniem niezmiernie czarnego i niezmiernie płaskiego rozbratla, na który ojciec, spojrzawszy przez monokl przymrużonem okiem, skrzywił się nieco i zapytał, czy nie ma sałaty.

Gremjalny uśmiech przeleciał nam przez usta.

Ale matka wpatrzyła się w ojca z przerażeniem prawie.

— Sałaty? — W grudniu — sałaty? Lecz cóżbyśmy, nieszczęśliwi, jadali w czerwcu i lipcu, gdyby w grudniu miała być sałata?

Wtedy ojciec objaśnił nas pobłażliwie, że w Paryżu sałata jest zawsze.

Natychmiast uśmiech zniknął z ust naszych, a powieki opuściły się z pewnem zawstydzeniem i upokorzeniem. Tylko oczy matki stały się bardziej przerażone, zaczem poczuliśmy wszyscy coś, jak gdyby trzeszczenie w fundamentach rodzinnego życia.

Później dopiero, dostawszy kawałek owego rozbratla, przekonałem się, że to w nim trzeszczało.

Ojciec przecież humoru nie stracił, i dłubiąc piórkiem w zębach przyglądał się z pod oka rozczerwienionej i buchającej cebulą Wikcie, poczem, gwiżdżąc arjetkę, poszedł do swego podróżnego kufra, który w pierwszym momencie zamieszania do saloniku wstawiono.

Naturalnie pospieszyliśmy za ojcem, wraz z Medorem. Co do matki, ta pozostała w jadalni, gdyż na talerzu ojca leżał bardzo dobry jeszcze kawałek mięsa i trzeba go było do kredensu schować.

Wtedy to właśnie, przy owym podróżnym kufrze, z którego ojciec zaczął wyrzucać jasne rękawiczki, krawaty i pachnące piżmem chusteczki, miałem cudowną wizję owego zegarka.

Jeszcze stałem osłupiały, chłonąc rozszerzonemi źrenicami to prawie nieziemskie zjawisko, gdy w tem zaczęło się ono zwolna zniżać ku mnie, a ojciec zawołał wesoło:

— Trzymaj, chłopcze! Masz zegarek!

Rzuciłem się z bezprzytomnym krzykiem szalonej szczęśliwości, wyciągając ręce.

Jeszczem go wszakże dosięgnąć nie zdołał, gdy weszła matka, a spostrzegłszy, na co się zanosi, spiesznie zegarek odebrała ojcu.

— Nie, nie!.... Do rąk nie! Za nic w świecie do rąk! Taka kosztowna rzecz! Do ślubu nie miałam lepszego! Taki zegarek — dziecku!

I natychmiast zgasiła wszystkie gwiazdy i wszystek szafir sierpniowej nocy w swej zamkniętej dłoni.

W tej samej chwili dusza zgasła we mnie.

Wszakże ojciec próbował się wstawiać.

— Ale pozwól! Ale dajże pokój! Ale co znowu! Niechże się chłopak choć dzisiaj napatrzy, nacieszy! Niech wie, że to jego.

Lecz matka była nieubłagana.

Nie zginie mu, nie bój się. Napatrzy się i nacieszy, jak będzie starszy. A teraz za nic do rąk nie dam! Upuściłby i rozbił, jak amen w pacierzu.

Ojciec jednak wstawiał się jeszcze.

— Ale nie upuści, nie rozbije! Przecież to już duży chłopak!

— Obrócił się do mnie:

— Jakże? Nie rozbijesz?

Lecz ja słowa nie mogłem przemówić.

Gardło miałem ściśnięte, a usta mi drżały.

Patrzałem tedy to na ojca, to na matkę w niemem przerażeniu.

....Nie dawać mi do rąk? Dlaczego? Boże miłosierny! Dlaczego nie dawać mi do rąk tego cudu i tego szczęścia? Czyż nie na to mam ręce, abym w nie szczęście moje mógł wziąć i trzymać mocno?

....Rozbić? Jabym miał to rozbić? Czyż nie z taką samą słusznością powiedzieć by można, że rozbiję niebieski firmament? Rozbić tyle czaru, tyle światła i tyle radości?...

I oto w oczach moich zaczęły wzbierać dwie ciężkie, wielkie łzy, które mi wypełniły źrenice aż po same rzęsy.

Przez łzy te ojciec i matka stawali mi się coraz mniej widzialni, coraz mniej rzeczywiści i coraz srebrniejsi. Wreszcie zupełnie widzieć ich przestałem. Czułem tylko, że jakieś dwie przeciwne moce, o mglistych a potężnych kształtach, ważą się nade mną, zabijając i wskrzeszając kolejno moje serce, i że ja, w małości i bezbronności mojej, nie mogę przeciw temu nic, nic...

Wtem doszedł mnie stanowczy głos matki:

— Dobrze zresztą! Niech się napatrzy! Położę zegarek tu, na fortepianie. O, tutaj! Ale do ręki nie waż się brać! Niech Bóg zachowa! Niech cię Pan Bóg broni! Rozumiesz?

Rozumiałem.

Dwie wielkie, ciężkie łzy, których miałem pełne oczy, spadły, jak dwie twarde bryłki po moich rozpalonych policzkach. Dotąd czuję ich doskonałą zwartość i okrągłość.

Jestem też pewny, że upadłszy, nie wsiąknęły w kostkową posadzkę naszego saloniku, lecz że się o nią w pył tęczowy rozbiły tak, jak owe kuleczki wydmuchane z weneckiego szkła w Murano, które za dotknięciem pękają z przedziwną dźwięcznością.

Zacząłem patrzeć.

Nie było to łatwo. Fortepian sięgał mi prawie aż do brody. Zadarłem tedy głowę, brodę położyłem na mahoniowej dece fortepianu i — patrzyłem.

Zegarek leżał teraz w otwartem, czarnem pudełku, które mi się wydało małą, czarną trumną.

Szafiry jego zmierzchły, gwiazdy ledwo tlały. Prawda, że w tym kącie pokoju było dosyć ciemno. Blizki był, a jednak — o, jakże daleki!

Daleki najpierw dlatego, że leżał na środku fortepianu, gdzie żadną miarą dosięgnąć nie mo-

glem, a potem, że — „niech Bóg broni, i niech Bóg zachowa! Rozumiesz?“

O gorzkie rozumienie! O bezlitosny w swej mądrej słuszności zakazie niebiańskiego szczęścia! O niedoborze rozkoszy, której nie można za nic w świecie do rąk!

O serca głodne, u zastawionych stołów życia! O usta pragnące, do pełnych czasz przywarte, a nienapojone! O pierwsze pożądanie, schowane w czarnem, do trumny podobnem pudełku! O filozofjo zaprzeczeń, która wydziedziczasz dusze z boskiego władania sobą! O ziemie obiecane, a nienawiedzane nigdy! O zwiastowania majowych narodzin szczęścia, po których żadne słowo ciałem się nie staje!

O ręce zaciśnięte żądzą!

O palce zdławione zakazem!

O ramiona chwytające w próżni to, co nieuchwytne! O blizkie a nieprzybyte z każdego punktu, zawsze i wszędzie równo oddalone dale! O srebrne sita serc czerpiących morze! O ty wielkie wszystko życia, którego niech Bóg zachowa i niech Pan Bóg broni!..

Lecz gdym tak stał, oparłszy brodę na fortepianowej dece i założywszy w tył ręce z palcami splątanemi w nieprawdopodobny węzeł, którego — nawet najsilniejszą pokusą zdjęty — odrazu rozpłątać nie byłbym w możności, zegarek zaczął coś szeptać, coś mówić, coś śpiewać. Szept był zrazu niewyraźny, niewypowiedziany.

Istniał w nieuchwytności subtelnego szmeru, w czarodziejskiem rozedrganiu jakichś nieskończenie dalekich i nieskończenie bliskich punktów, z których jeden był w sercu zegarka, a zaś drugi — w mojem.

Był zrazu niepojęty, niezrozumiały, olśniewający, cudownie pozbawiony wszelkiego znaczenia. Obłok woni, pył czarokwitu, mżenie tęcz, przyciąganie nieprzemożone bólu i rozkoszy...

Acz nad wyraz pospieszny i cichy, miał w sobie szept ten precyzję i czystość struny trącanej od wieczności do wieczności niewidzialną ręką, a tak był kojący i słodki, że cała gorycz, cała cierpkość natężenia duszy zwolniała we mnie, a serce moje zaczęło mu odszeptywać z rzewnem i ufnem oddaniem.

A wtedy szept ów, który był mniej niż mową a więcej niż głosem, przerzucił się nagle z nieskończonych oddaleń wprost do mojej piersi, i usłyszałem wyraźnie jego głęboką istotę, na którą się składały dwa, nierozerwalnie złączone z sobą dźwięki:

...Ja i ty... Ja i ty... Ja i ty...

Było to nieścignione okiem błyskanie i odbłyskiwanie dwu lekkich, modrych iskier, z których gdy się zapalała jedna, gasła druga, oddając tamtej swój żar i swój kolor.

Było to czarodziejskie obdzielanie jednem życiem dwu odrębnych istnień, dokonywane z taką potęgą bezpośredniości, iż żadne z istnień tych nie czuło się ani przez jedno mgnienie, martwym i zgaszonym punktem. Że się ten cud stawał w maleńkiem, tajemniczem „i“, nie wiedziałem wówczas.

Wkrótce przecież owo błyskawiczne zapalanie się i ugasanie dwu modrych iskier nabrało tak natężonej szybkości i siły, iż zajarzyło jako złota nieprzerwana smuga muzycznego tonu. Zaczem ton rozłamał się na dźwięki, i buchnęła nade mną pieśń żywym płomieniem.

Była to niezawodnie najcudniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek ucho ludzkie słyszało. Strofy jej rozkwitały z niezmierną świeżością uroszonych pąków, wprost z nieobjętych wzrokiem, przelewających się przez wręby widnokręgu, pól radości i wiosennych czarów.

(Dok. nast.)

NOWELE SZYMAŃSKIEGO.

Prawie równocześnie wyszły w niemieckim przekładzie Adama Szymańskiego „Szkice sybirskie“ i zbiór nowel rosjanina L. Melsina, których tematem również kaźń syberyjska. Dwa te zbiory nowel, stanowiące niby *pendant* do sensacyjnej i ogromnie obecnie w Niemczech poczytnej powieści Jana Leusa „Z domu poprawy“, otwierają przed oczyma czytającej publiczności świat skazańców, zabitą kratami otchłań, w której czasami dla dusz umęczonych dantejskie się piszą wyroki. W takim też związku traktuje te trzy zjawiska w literaturze niemieckiej fejletonista praskiej „*Politik*“, kreśląc przy tej sposobności piękną sylwetkę Adama Szymańskiego, którą przytoczyć warto, jako wyraz opinji obcej o naszym znakomitym pisarzu:

Szymańskiego „Syberyjskie nowele“, pisze autor, należą bezsprzecznie do najlepszych tworów europejskiej nowelistyki. Przemawia z nich niezwykle silna, wielkimi cierpieniami oczyszczona i podniesiona indywidualność. Niezwykle intensywne uczucie o potężnym, ale na wodzy trzymanym tonie lirycznym, idzie w nich w parze z wspaniałą plastyką opowiadania. W istocie rzeczy wszystkie te nowele wzięte są z życia autora, który w pierwszej osobie opowiada o ludziach, co mu stanęli w bolesnej drodze po śnieżnych stepach Sybiru. Mimo to jednak jego własna osoba ustępuje na plan drugi, poznajemy ją tylko dzięki refleksowi, który od niej wychodzi i oświeca postacie, sytuacje, krajobrazy. Technika jego odznacza się dziwną siłą koncentrowania w szczupłych ramach szkicu całego losu, co ze straszną siłą spada na człowieka i miażdży go, poruszając równocześnie najtajniejsze struny duszy.

„Własny jego ból życiowy przepełnił go uczuciem niezmiernej litości dla całego otoczenia. Żadna skarga nie dobywa się z książki, chociaż ona cała jest wielkiem oskarżeniem. Szymański tylko maluje. Na tle czasem pięknej, czasem strasznej i okrutnej przyrody sybirskiej, rysuje on swoje postacie i każe im ich własnymi słowy opowiadać, co przeżyli i co przecierpieli. Przed nami otwiera się ich dusza, widzimy motywy ich działania, widzimy i to także, co cierpienia z nich zrobiły. Choroba, która ich wszystkich trapi, to tęsknota za ojczyzną, nostalgja, przybierająca czasem tragiczne, czasem chorobliwe formy, ale wyciskająca zawsze na ludziach nawet najniższego typu szlachetne piętno.

„Adam Szymański jest nawet w najnowszej, obfitej w talenty literaturze polskiej zjawiskiem wyjątkowem. Jest poetą nostalgji, a to główne uczucie znalazło w utworach jego najpiękniejszy, najgłębszy i najbardziej przejmujący wyraz. Tęsknota za ojczyzną jest motywem, który w polskiej poezji i literaturze dziewiętnastego stulecia częściej występuje, aniżeli gdzieindziej. Jej poświęcona jest jedna z najpiękniejszych nowel Sienkiewicza, słynny „Latarnik“, ta sama też tęsknota przenika do głębi wielki narodowy epos polski, „Pana Tadeusza“; lecz ani tu, ani tam nie stała się tak wyłącznie panującą, jak u Adama Szymańskiego. Jego właściwie ta tęsknota uczyniła poetą. Gdy w r. 1879, jako 27-letni człowiek po odsiedzeniu trzynasto miesięcznego więzienia w dziesiątym pawilonie cytadeli warszawskiej, skazany został na wieloletnie wygnanie na Sybir, znany on był jako publicysta tylko i autor kilku prac historycznych.

„Podczas czteroletniego pobytu we wschodniej Syberji zwrócił on uwagę na ludność jakucką i napisał o niej w języku rosyjskim pracę etnograficzną, za którą Towarzystwo geograficzne w Petersburgu mianowało go swoim członkiem. Dopiero w roku 1886 gdy mu Loris Melików pozwolił przebywać w Rosji europejskiej, z wyjątkiem polskich prowincji, wydał Szymański pierwszy tom swoich szkiców syberyjskich, które wywołały odrazu niesłychane wrażenie. W pięć lat później ukazał się tom drugi z równym przyjęty entuzjazmem, a od tego czasu doczekały się oba tomy wielu wydań, niektóre zaś nowele przeszły do polskich podręczników dla szkół publicznych. O Syberji i żyjących tam politycznych skazańcach pisano bardzo wiele, ale w szkicach Szymańskiego nie szukać opisów, któreby wzbudzały powszechną ciekawość lub sensację. — On opowiada tylko przygody niektórych swoich towarzyszy w prosty, ale przejmujący sposób, bardzo często ich własnymi słowami. — Posiada zaś Szymański dziwnie wydoskonalony słuch na mowę ludzi najrozmaitszych temperamentów i indywidualności. Straszny ból nie złamał go ani rozgoryczył, lecz przeciwnie rozpłomienił serce jego i dał mu jasne zrozumienie wszystkich cierpień otaczających go ludzi. Jego światopogląd, z którego wyszły wszystkie nowele, jest panteizmem boleści i miłości, głębokiem współczuciem dla cierpień innych, tak tubylców walczących ze srogą przyrodą jak i skazańców politycznych. Nostalgja, która dźwięczy we wszystkich jego nowelach wzniosła się najwyżej w „Srulu z Lubartowa“ i „Dwu modlitwach“, jak niemniej w „Stolarzu Kowalskim.“

JAN ŚWIERK.

SALON MÓD. 2)

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Już jest po północy, nie śpię.

Biedna ciocia, jak zawsze, przy maszynie. Pochyli głowę, szyje i szyje, ani słowa nie powie, ani westchnie lub użali się... dzień po dniu, noc po nocy. Wujcio położy się wcześnie spać, a drzwi starannie zamknie, żeby go światło i szycie nie bu-

dziło. Dzieci śpią na kanapce w pracowni... a ciocia nie spoczywa.

— Czy ty list piszesz? pyta ciocia z cicha.

— Nie, cioteczko, notuję sobie niektóre rzeczy, obiecałam ojczusiowi, że pisać będę wszystko, potem mu dam przeczytać. Może cioci przeszkadzam?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Czyż nie widzisz, ile mam roboty? Już dziesięć lat przeszło, nie położyłam się spać nigdy przed północą...

— Ciocia nie ma wakacji?

— Nieszczęście by było, gdybym wakacje miała, bo to by znaczyło, że brakło roboty, a wydatków tyle: panny drogo kosztują, mieszkania coraz droższe, podatek... Janek chorował, musiałam pożyczyć na lekarza — tak zawsze źle i źle.

— Może ja tobie, cioteczko, będę ciężarem? może ta mała kwota, którą ojczulek płacić będzie za wikt i mieszkanie nie wystarczy tobie?

— Nie bój się, dziecko, uszczerbku mi nie zrobisz, ale dobrego życia nie spodziewaj się u mnie. Na co mię stanie, tem się z tobą podzielę, kącik w salonie wolny, nie zawadzi mi, gdy przenocujesz... ot! może ci będzie lepiej, niż mnie...

Pochyliła się nad maszyną... Noc mijała zwolna, cicha, pogodna noc sierpniowa. Nad miastem unosiła się cisza, taka prawie, jaka nad wioską płynie, a jednak jakże inaczej tu mi się wydawało. Gdzieś w dali, na piętrze w kawiarni okna świeciły czerwonawem światłem, cienie osób poruszały się na spuszczonych firankach. Z przeciwka, od okna stróża w suterenach także światełko blade kładło się smugą na chodnik pusty... Zdaje mi się, mieszka tam praczka, której ciocia także do prania daje. Oparłam się o otwarte okno i modliłam się długo.

Myśl ma była daleko — u progu naszej chaty, w której ojczulek pracuje już lat 27, jako biedny nauczyciel ludowy...

Już tydzień minął od owej nocy...

Smutny tydzień... Przeżyłam w nim kilka lat. Lecz stało się to, co mi przepowiadano, nie zostałam przyjęta do seminarjum... Takich jak ja, z dalekich stron wsi, biednych dziewcząt, garnących się do pracy, nie przyjęto 37! Jedne z nich w głos płakały, gdy im odczytano wyrok, inne żaliły się skargą smutną... Ja — tyle miałam hartu i powagi, iż nie rzekłam nic, ani słowa, zeszłam z piętra i chciałam iść zaraz do domu, ale dogoniła mię biedna Kasia, czerwona od płaczu, chwyciła za rękę i poczęła prosić, abym jeszcze chwilę została.

— Zlituj się, koleżanko, mówi do mnie, poradź mi, co robić? co robić? Pocóż wrócę do domu? Wszak tam nędza, okropna nędza, ojciec swoją pracą nie może nas wyżywić, chłopaków do szkół nie daje, bo nie ma za co — pocóż tam będę wracała?

— Tak samo i ja myślę, odrzekłam drżącym głosem, i ja nie mam po co wracać, bo tam żadnej pracy dla siebie nie znajdę, a pracować muszę i dla bytu i dla tego, abym była pożyteczną narodowi.

— Ale że ciebie nie przyjęto, w głowie mi się nie może pomieścić, mówi Kazia, bo ja, sama wiem, trochę słabo odpowiadałam, sama jako tako uczyłam się, ale ty może najlepiej umiałaś. Czy istotnie nigdzie do szkół nie chodziłaś?

— Ojczulek mię uczył, a gdyby dowiedział się, że nie zdałam, możeby odchorował ze zmartwienia.

Rozmawiałyśmy na kurytarzu, obok nas stanęły dwie także nieprzyjęte kandydatki, za niemi znów kilka. Utworzyło się kółko, o jednem i tem samem mówiące.

— Ta wysoka, czerniawa przyjęta, a nie umiała nic.

— Ta, co od ciebie odpisywała zadanie, także przyjęta, chociaż szukała Anglji przy Czarnem morzu.

— Miały protekcje!

— Ileż z prowincji przyjęto?

— Zdaje mi się, że tylko trzy.

— Nie! pięć.

— I tak łaska wielka.

— Powinni ogłosić w gazetach, iż dla kandydatek z prowincji niema miejsca, tobyśmy się nie narażały na koszta drogi.

Przy bliższej rozmowie pokazało się, iż każda z tych nieprzyjętych najszczersze chęci ma pracować nad ludem, że są to panienki z domów biednych i nie dla kaprysu cisną się do seminarjum.

Wątła i blada Emcia, trochę kulawa, ma matkę wdowę po kanceliście, bez centa pensji, cała przyszłość ich była w posadzie nauczycielki — teraz niema nadziei.

Podczas gdy rozmawiałyśmy, stroskane i smutne, zbiegały z piętra śmiejące się i rozweselone panny, te, które przyjęto...

— Dziś idziemy do loży parterowej, mówi jedna.

— My jutro urządzamy wycieczkę powozami do lasu.

— Mania tylko do półrocza będzie chodziła, bo w lutym jej ślub, zdawała dla tego, aby

z nami jeszcze naśmiać się i z profesorów karykatury rysować, jak to ona wybornie umie.

Słysząc to — czułyśmy gorycz w sercu... niektóre od płaczu zanosiły się, a ja sama, chociaż strasznie nieszczęśliwa i biedna, miałam tyle mocy i ambicji, aby nie okazać tego — stałam spokojna i sztywna.

Po chwili rozmowy, pożegnałam nieszczęśliwe towarzyszki niedoli i poszłam do domu.

Z Kasią i Emcią umówiłyśmy się, że na drugi dzień zejdziemy się w kościele, a potem pójdziemy na wielką naradę.

Weszłam ledwie w próg, gdy ciocia mówi:

— Nie przyjęli.

— Zkądże cioteczka wie?

— Już wszyscy o tem mówią. Oburzenie ogromne... był nawet Jerzy i powiada, że będzie to w gazetach...

— Cóż pomoże?...

— Jerzy mówi, że mogliby utworzyć drugą klasę paralelną, że nastraszą się ostrego artykułu...

— Tymczasem biedne ze wsi rozjadą się i już po wszystkiem.

— Czyś chora? Źle wyglądasz...

— Boli mię głowa i źle mi jakoś, zdaje mi się, że pół tego miasta wali się na mnie.

— Może co zjesz, może napijesz się wody sodowej, może położysz się?

Dobra cioteczka trudzi się około mnie, całuje mię, pociesza, a mnie jest wszystko jedno, zupełnie wszystko jedno, tak mi sztywnie w oczach, tak w myśli ciągle jedno i to samo... nic nie chcę, nic nie rozumiem, dajcie mi spokój... Ciocia myśli, że omdlałam, obryzguje mi czoło octem, ale ja przecież widzę, słyszę, czuję, tylko nic mówić nie chcę i nie mogę, dajcie mi spokój... zostawcie mię w ciszy...

(D. c. n.)

Wiliam Ewart Gladstone

według Morley'a.

(Life of W. E. Gladstone. 1903 — 3 tomy.)

II.

Gladstone urodził się w Liverpool'u, gdzie ojciec jego posiadał znaczny dom handlowy. Co więcej, ojciec jego posiadał licznych niewolników murzyńskich na plantacjach w zachodnich Indjach. Rodzina Gladstone'a pochodziła ze Szkocji. W domu, panowały zasady konserwatywne, ale nie wrogie postępowi; ojciec Gladstone'a, był zwolennikiem Canning'a, zachowawcy o szerokim pokroju myśli, choć przeciwnym reformie politycznej. Pod względem religijnym panował w domu ewangelizm.

Czem był ewangelizm angielski? Jak wiadomo czytelnikowi, anglikanizm w dogmatach swych religijnych nie odstępuje wiele od katolicyzmu; jego cechą najbardziej wybitną jest upaństwowienie, że się tak wyrazimy, kościoła. Anglikanizm, możnaby zatem nazwać rodzajem prawosławja protestanckiego, z tą różnicą, że dzięki ewolucji politycznej Anglji prawa korony przeszły powoli w ręce parlamentu. Protestantyzm w Anglji, wcześnie ujęty w karby państwowości, nie miał wcale dziejów religijnego wstrząśnienia umysłów, które zjawiło się dopiero później i to już w opozycji do kościoła państwowego, wystąpiło jako purytanizm, zgnieciony razem z ruchem republikańskim Kromwella.

Usychało zatem życie religijne anglikanizmu, z powodu jego państwowo-policyjnej natury. Dlatego też widzimy w XVIII. wieku liczne rokosze religijne przeciw kościołowi państwowemu. Z jednej strony różne sekty protestanckie stanowią opozycję za obrębem kościoła, z drugiej strony powstają rokosze w łonie samego kościoła państwowego. Spotykamy się z rokoszem ludowym, bardziej demokratycznym, uosobionym w ruchu Wesley'a; spotykamy się wreszcie z ruchem mieszczańskiego bardziej charakteru, z „ewangelizmem“. Ruchy te zbliżają się do protestantyzmu, wzbudzają pewien fanatyzm sekciarski, który nie istniał w łonie oficjalnego anglikanizmu, zanurzającego się w łożysku potoku przywilejów państwowych.

Gladstone wyrasta jako ewangelista, ale powoli przechodzi do innego zupełnie kierunku myśli, do wyzwolonego od zwierzchnictwa państwowego anglikanizmu. I czem ma być ten anglikanizm? Apostolskim, uniwersalnym, hierarchicznie zorganizowanym i ponad życiem świeckiem stojącym kościołem. Gladstone blizkim jest nawet katolicyzmu rzymskiego i chce usilnie pogodzenia i połączenia kościołów, ale nie chce przyznać władzy świeckiej temu kościołowi, który on tylko jako podstawę moralną życia politycznego przyznaje. Zbyt drogimi są dla Gladstone'a tradycje walk parlamentarnych,

by mógł zgodzić się na to, by nad całym ustrojem politycznym zawisł miecz choćby duchowy.

Ale jak ten kościół utopijny ma być p o d s t a- w ą życia społecznego? Przez ideały moralne, przez zasadę sprawiedliwości. Ta ostatnia pozwala Gladston'owi widzieć w swych współobywatelach odmiennych przekonań równych mu zupełnie ludzi. Powoli Gladstone stawia tolerancję jako wynik konieczny sprawiedliwości, — powoli on, anglikanin z głębi duszy, przeprowadza w Irlandji zniesienie przywilejów państwowych anglikanizmu dlatego właśnie, że przywileje te w kraju katolickim obrażają uczucia mieszkańców, są zaprzeczeniem sprawiedliwości, bez której nie masz ani moralności, ani rozwoju zdrowego życia społecznego.

Oto jak stopniowo Gladstone ze skrajnego klerykała, którego obawiają się z początku najdalej idący zachowawcy, przechodzi w szermierza swobody i na polu religijnem. Może dlatego, że był on wyjątkowo wierzącym, wyjątkowo przejętym wiarą w to, że wiara jego jest tem źródłem, z którego tryska ożywcza sprawiedliwość.

Pod względem dogmatycznym Gladstone do końca życia zachował swe wierzenia. Gdy już usunął się z pola walk politycznych, Gladstone wraca do swych prac teologicznych. Jako intellekt, jako umysł, Gladston nie był wcale tem, co nazywamy „dzieckiem wieku“. Chwilami stoi on zupełnie odosobniony. Często naraża się na cięgi, gdyż, nie znając wcale postępu, jaki nauki przyrodnicze zrobiły, wchodzi w polemikę z Huxley'em, który go nie szczędzi. Ale, gdy chodzi o prawa polityczne, gdy chodzi o człowieka-obywatela, Gladstone walczy o swobodę i pomaga każdemu zrzucać jarzmo gnębiące.

W polityce znalazł się on tylko raz w sprzeczności ze swem stronnictwem, mianowicie, gdy w 1870 roku przeprowadzano nową ustawę szkolną. Pojęcie o ś w i e c k o ś c i szkoły było dla Gladstone'a niezrozumiałe i o wychowaniu religijnem miał on swoje pojęcia. Ale poddał się żądaniom swego stronnictwa, które wpływ kościoła na szkołę w pewnej mierze ograniczyć chciało; — poddał się, gdy mu przedstawiono obawy tych, którzy do kościoła państwowego nie należą.

Gladstone, gdy jeszcze był młodym, marzył o karjerze duchownej. Nawet, gdy był już ministrem, rwał się do roli pośrednika między anglikanizmem a Rzymem. Sam on ciągle mówi o sobie, że myśl religijna jest podstawą wszelkiej jego działalności politycznej. Przed wielkiemi debatami parlamentarnemi szuka on natchnienia w psalmach dawidowych. Nieraz pisze on o sobie, iż czuje się być narzędziem Opatrzności, wybranem w celu przeprowadzenia zasad prawdy wieczystej. Ale ani przez chwilę nie sięga on po miecz wybrańca, nie ucieka się do siły, gwałcicielki sumienia i uczuć inaczej myślących. W parlamencie wreszcie, gdy wybrany na posła Bradlaugh (czytaj Bradlo), oświadcza, iż, jako niewierzący, nie może składać wymaganej prawem przysięgi poselskiej, Gladstone poskramia wybuchy wierzących i wnosi projekt prawa, zmieniającego formę przysięgi.

I ten sam człowiek, który po zwycięztwach na rzecz swobody odniesionych, czuje się być narzędziem Opatrzności, ten sam, powiadamy, człowiek, pomimo że w ręku swym władzę dzierżył, nie przestaje być nigdy sługą wolności. O sobie zaś pisze skromnie, że nigdy nie był czemś nadzwyczajnem, — że przez długi czas, nie rozumiał swobody, — że dopiero życie przyprowadziło go do źródła prawdy. Bo tylko przez to, że poznał prawdę, widzi w sobie narzędzie Wszechsiły.

Czytając wyciągi z dziennika, z notatek, które Morley na świat wydobył, oddajemy mimowoli pokłon tej wielkiej skromności człowieka, który przez lat niemal że trzydzieści, czy to jako premier, czy to jako wódz opozycji, stanowił o losach jednego z najpotężniejszych krajów. A skromność ta jest tembardziej godną uwagi, że Gladstone był także „temperamentem“. Był on — mówi słusznie Morley — południowcem, trzymanym w karbach przez człowieka północy. To też przeciwnicy Gladstone'a nie zdając sobie sprawy z tej gry harmonijnej temperamentu i rozwagi, nazywali Gladston'a często żądnym władzy hipokrytą. Otóż władza dla Gladstone'a nie była nigdy celem w sobie, bo rządzenia nie rozumiał bez panowania zasady sprawiedliwości. Przejęty tą zasadą do głębi duszy, był on zawsze gotowym do walki, ale woli swej, swego pojmowania rzeczy, nie narzucał. Sam Gladstone mówi o sobie, że przeobrażeń dokonywał, gdy ich potrzeba była — poniekąd „u drzwi“ życia krajowego.

Sygma.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Dąbrowska Stanisława.* Bądź błogosławiony. Lublin. Księgarnia F. Raczkowskiego. 1903. 16-ka; str. 189. Z całego tomiku drobnych szkiców i opowiadań uderza przedewszystkiem zasadnicza idea, jaka przewija się przez jego karty, — idea umiłowania ludu prostego, pojęta bardzo głęboko, odczuta sercem prawdziwie kochającem. Uczucia włożyła w te nowelki autorka bardzo wiele, dużo przytem smutku i melancholijnego poglądu na stosunki społeczne. Nic w tem dziwnego; z każdego bowiem szkicu, wygląda szara chłopska dola, pełna nędzy i niedostatku, czy to z „Jaśka“, co zamarzł na drodze, czy z „Wawrzka“, co całe życie ciężko harował, aby na starość zaznać od dzieci własnych nienawistnego spojrzenia, czy wreszcie z „Doktora“, który stracił klientelę bogatą dlatego, że pełniąc sumiennie obowiązki, dał pierwej pomoc chłopu, niż pani wielkomiejskiej.

Jedynie formalna strona tych nowelek szwankuje miejscami, ale że są to pierwsze utwory p. Dąbrowskiej, więc można mieć nadzieję, iż przyszłość usunie tę wadę.

NOTATKI. *Temperatura w r. 1903.* Ubiegły dopiero co rok, rozpoczął się ślicznym, słonecznym dniem „nowego roku“ i odwilżą po ogromnych zaspach śnieżnych, które zawaliły świat w czasie Bożego narodzenia, r. 1902. Pogoda trwała aż mniej więcej do 10. stycznia, poczem bezpośrednio chwycił tęgi, do 20 stopni Celsjusza, dochodzący mróz, na którym przy końcu stycznia skończyła się właściwa, ostra zima. Cały luty bowiem, okazał się bardzo ciepłym, tak, że przeciętna temperatura jego była o $4\frac{1}{2}$ stopni ciepła wyższa, aniżeli w latach poprzednich. Również i w marcu, panowała przeważnie normalna, wiosenna temperatura, natomiast kwiecień, zupełnie się okazał niełaskawym na wiosenne zasiewy i pękające liście drzew. Przenikliwe zimno, trwało bez przerwy, prawie cały miesiąc, a stacja meteorologiczna w Wiedniu, od czasu swego istnienia nie notowała nigdy tak niskiej ciepłoty, o tym czasie. Maj wynagrodził po części zimna kwietniowe, natomiast czerwiec zwłaszcza w drugiej swojej połowie, odznaczył się niezwykłą mnogością opadów deszczowych, które sprowadziły niesłychaną klęskę powodziową w zachodniej części, naszego kraju. Później, w drugiej połowie lipca i w sierpniu, pogoda się ustaliła, a w połowie sierpnia, mieliśmy cały szereg dni prawdziwie upalnych. — Toż samo i jesień cała suchą była i bardzo pogodną, a zwłaszcza wrzesień i połowa mniej więcej października. I później wysoka stosunkowo temperatura, trzymała się nieprzerwanie aż do końca prawie listopada, właściwa zaś i mroźna zima, rozpoczęła się niedawno, w drugiej połowie grudnia i trwa w średniej temperaturze aż do dni dzisiejszych.

Amerykańskie teatry. Z okazji straszliwej katastrofy w teatrze Iro-Quais w Chicago, opowiadają artyści i amerykańscy bywalcy, interwiewującym ich dziennikarzom, różne ciekawe rzeczy o sposobie urządzenia teatrów amerykańskich. I tak przedewszystkiem mają być teatry tamtejsze prawie wyłącznie, przedsiębiorstwami prywatnymi. Jakiś przedsiębiorca wybuduje gmach, bez względu na specjalnie teatralne przepisy budowlane, które w Ameryce prawie nie istnieją, nada mu dziwną nazwę i patrzy, jakiej trupie najkorzystniej byłoby go wynająć. Zwłaszcza nazwy teatrów niekiedy stają w komicznej sprzeczności, z tem co się w nich grywa, do tego stopnia, że w takiem naprzykład „*Grand Opera House*“ w Nowym Jorku występują niekiedy..... małpie balety. Przedsiębiorcy zależy jedynie na tem, aby jak największy zysk wyciągnąć z budynku, o resztę nie dba, zostawiając zupełną autonomję przygodnym dzierżawcom.

To też o ile teatry amerykańskie ze strony zewnętrznej przedstawiają się niezwykle okazale, to pod względem wewnętrznych urządzeń urągają najprymitywniejszym wymogom europejskim, a búdowane są na sposób fabryczny, według jednego szablonu. W Ameryce nie ma zresztą techników, którzy by się zajmowali fachowo budową teatrów. Największy teatr w Ameryce „*Metropolitan Opera House*“ w Nowym Jorku, w którym obecnie grywają wagnerowskiego „*Parsivala*“ zbudowany został przez pewnego pobożnego metodystę, który, co prawda przestudjował sumiennie wszystkie plany najważniejszych teatrów europejskich, ale szczegóły budował według własnych, tak oryginalnych pomysłów, że gdy ostatecznie powierzono wykończenie gmachu architekcie Lautenschlägerowi, ten musiał rozpoczynać od zupełnego zburzenia sceny. Lautenschläger jest twórcą sceny nowego teatru w Monachium, która uchodzi dotychczas za nieprześcigniony w tym kierunku wzór. Urządzenie jej wygląda jak wielka faryka maszyn, podzielona pod ziemią i nad ziemią na przeszło 10 piątr. Otóż taką samą scenę wybudował Lautenschläger i w „Metropolitan Opera House“ a jest ona pierwszą w swoim rodzaju w całej Ameryce.

W chicagowskim dzienniku „*Sunday Record Herald*“ z dnia 23. listopada 1903 znajduje się wyczerpujący opis spalonego teatru Iro-Quais, który w tym właśnie dniu został otwarty. Teatr ten położony jest przy „*Michigan Bouleward*“ a pod względem architektonicznym zbudowany z niesłychaną okazałością. Wspaniałą fasadę zdobią jońskie kolumny i allegoryczne rzeźby przedstawiające komedję i tragedję. Wysokie foyer wyłożone białym marmurem, widownia zaś obita była czerwonym pluszem, który na ścianach przechodził w barwę zieloną i pompejańską. Foyer zbudowano było według wzorów teatru opery komicznej w Paryżu i bibljoteki kongresu w Waszyngtonie, i posiadało dwa wchody prowadzące do pierwszej i drugiej galerji. Korytarz prowadzący na parter, ozdobiony był dwoma szeregami kolumn. Cały teatr oświetlony był elektrycznie, od sufitu zwieszał się olbrzymi pająk, malowidło zaś na kurtynie przedstawiało scenę jesienną, pędzla znakomitego malarza amerykańskiego Johna Lewisa. Sama scena leżała na tym samym poziomie, co parter widowni i oddzielona była odeń przestrzenią wszystkiego 9 stóp wynoszącą.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.